

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 193.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 6 czerwca 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VII.

TREŚĆ NUMERU.

Od redakcyi.—Stanisław Koniecpolski (z drzeworytem).—Kronika tygodniowa.—Pomnik Kaźmirza Brodzińskiego (z drzeworytem).—Rzyszczów (z drzeworytem).—Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego.—Rozmaitości.—Przegląd polityki zagranicznej.—Jarema (dalszy ciąg).—Ilustrowane przysłowie (z drzeworytem).—Szachy.—Rebus.

atorowie z cesarstwa, otrzymujący tylko sam Tygodnik, płacą kopertowe od każdego egzemplarza rsr. 2 rocznie. Jeśli Tygodnik ma być wysyłany w kopercie innego pisma, **to redakcyja uprasza o wyraźne wymienienie tego pisma przy nadsyłaniu pieniędzy.**

Szanowni prenumeratorowie na prowincyi zechcą zapisywać się wcześniej na właściwych stacyach po-

cztowych, od tego bowiem zależeć będzie głównie regularny odbiór pierwszych numerów kwartału.

W razie nieregularnego odbierania numerów Tygodnika, lub otrzymywania ich w stanie uszkodzonym, porozcinane, zmięte, zbrudzone lub podpisane atramentem, lubo to wszystko nigdy z winy redakcyi pochodzić nie może, raczą szanowni prenumeratorowie odwoływać się do redakcyi lub zarządu pocztowego w Warszawie, a zażalenia ich załatwiane będą z jaknajwiększym pośpiechem.

Komplety Tygodnika, obejmujące 15 kwartałów w siedmiu tomach, mogą być nabywane w redakcyi po cenie: tom I (jako złożony z trzech kwart.) rs. 6, tomy następne po rs. 4.

OD REDAKCYI.

Tygodnik Ilustrowany wychodzić będzie i nadal w tym samym jak dotąd zakresie i pod takimże warunkami.

W bieżącym jeszcze miesiącu ukończymy drukującą się obecnie powieść J. Zacharyasiewicza p. n. *Jarema*.

W kwartale przyszłym rozpoczniemy powieść *J. I. Kraszewskiego* p. n. **Pomywaczka**, z ilustracyami Gersona. Oprócz tego mamy przygotowanych kilka szkiców powieściowych *J. Dzierzkowskiego*, *Obrazy Rusi Czerwonej*, *Opis puszczy białowieżskiej* i t. p., wszystko to z licznymi drzeworytami.

Jako premium bezpłatne dla wszystkich prenumeratorów, wydawca w miesiącu lipcu r. b. dołączy do Tygodnika dokładną kartę Słowiańszczyzny południowej i zachodniej, w wielkim formacie, z obszernym tekstem objaśniającym.

Cena Tygodnika pozostaje ta sama, to jest w Warszawie: rocznie rsr. 8 k. — półrocznie „ 4 „ — kwartalnie „ 67½

Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rsr. 12 półrocznie „ 6 kwartalnie „ 3 z nadmienieniem, że prenume-



Stanisław Koniecpolski. (Rysował Polkowski, podług kopii olejnej z obrazu znajdującego się w Podhorcach.)

Stanisław Koniecpolski

HETMAN WIELKI KORONNY.

Stanisław pochodził z rodziny, która już za pierwszych Jagiellonów świetne stanowisko zajmowała w ojczyźnie. Podupadła oddawna, dźwigać dopiero zaczął ojciec Stanisława Aleksander wojewoda sieradzki, który przy krzesle i bogactw nabył wielkich na Podolu, przez majątną żonę Annę Sroczycką h. Nowina, jedynaczkę, córkę starożytnego rodu ruskiego, panią na Kadyjowcach, Żwańcu, Załuczach i innych jeszcze majątnościach pod Kamieńcem. Ojciec Anny, wojski kamieniecki, wydał ją za Koniecpolskiego w czasach jeszcze króla Stefana. Potomstwa mieli Koniecpolscy pięciu synów i trzy córki. Stanisław był najstarszym. Urodził się r. 1591.

Miał lat 9, kiedy go posłał ojciec do Krakowa na nauki. Mikołaj Koniecpolski, dalszy krewny, przydał wojewodzie swego syna, o trzy lata starszego Zygmunta, tego, co później, będąc sędzią ziemskim sieradzkim, opisywał dzieje rodziny Koniecpolskich. Obadwaj

młodzi traktowali nauki aż do samych ruchów rokoszowych w r. 1606. Wziął wtedy wojewoda z sobą nasejdu do Warszawy syna i jego towarzysza Zygmunta. Ale gdy na wojnę się zaniósł, a król z obozu pod Warszawą posyłał Maksymiliana Przerębskiego starostę piotrkowskiego do szlachty sieradzkiej, która się także burzyła, wojewoda odesłał z nim, jako z krewnym, syna do domu, Zygmunta zaś przy sobie zostawił. Wojewodzie płakał, a ojciec mówił do niego:

— „Mój Stanisławie, ja póki na koniu siedzieć mogę, królowi panu miłościwemu służyć chcę i przy dostojeniu jego gotówem umierać. Ciebie na krwie braci swojej nie chcę zaprawiać. Niech cię Pan Bóg chowa do usługi ojczyzny w dalsze lata.“ (Przylęcki, Pamiętniki o Koniecpolskich str. 167.)

Gdy król rokoszany uśmierzył, Stanisław wrócił do ojca. Rychło za tym nastąpiła wojna, na którą sam król ruszył osobą swoją pod Smoleńsk. Ośmnaście-letni wojewodzie sieradzki miał ochotę także biec na bój, ale ojciec mu chorował śmiertelnie, a wreszcie umarł w Ruscu, dziedzicznej swej majątności.

Pochowawszy rodzica, z drugim bratem swoim Przedborem, starostą żarnowskim, zebrałszy kopijnika 200 koni i piechoty 100 ludzi, poszli pod Smoleńsk. Przylęczeni się do pułków panów Potockich, krewnych z matki swęj, „ale że tam pobaczyli jakąś nieszczęsność,“ gdy regimentarz Potocki swoich bliższych krewnych po mieczu Potockich do usług rzplitej bardziej narażał, przeniesi się do hetmana Jana Karola Chodkiewicza. Chodkiewicz dla Koniecpolskich był wyrozumialszy. Powitał ich „jako miłych szwagrow swoich,“ bo sam żonaty był z Mielecką, krewną Ligęzów, a z Ligęzami blisko byli Koniecpolscy. Niedosyć na tym że przyjął, ale i narażał ich na niebezpieczeństwo jak chcieli. Po tym Koniecpolscy miarkowali, że ich kocha hetman litewski. Przy szturmie Smoleńska, Przedbore postrzelonego przywaliły mury (13 czerwca 1614 r.); później z rany tej umarł w Jacynie, więc do Koniecpola przywieziony i tam pochowany został w grobie przodków.

Kiedy król odjechał z pod Smoleńska, Chodkiewicz, który musiał panu towarzyszyć, na miejscu swoim zostawił Stanisława Koniecpolskiego „pod stolicą“ jak mówili dawni Polacy, takim nazwaniem oznaczając zawsze Moskwę. R. 1610 po świętach, młody Koniecpolski, po ojcu starosta wieluniński, a po bracie żarnowiecki, wyjechał pod Moskwę. W tej wyprawie miał sposobność przypatrzeć się rycerskim jego przymiotom stary doświadczony hetman Żółkiewski, co miało swoje skutki.

Wróciwszy z Moskwy, zaciągnął się Koniecpolski pod chorągiew kwarcianną, ale że mu pilno było towarzyszyć na bój prowadzić przeciw Tatarom, którzy na Rusi lupieżyli, został się u dworu dla ekspedowania przywileju, a kompanią zlecił tymczasem Prokopowi Strzyżewskiemu, staremu doświadczonemu żołnierzowi, który mu był bliski po krwi, i po sercu. Strzyżewski ruszył ze Lwowa ku Czarnokozincom na Podolu, napadł na zagon potężny, idąc bez języka na oslep, szczęśliwie go rozgromił i przyprowadził niespodzianie jeńców do Kamięca, gdzie oddał ich szlachcie sejmikującej w kole. Wszyscy to mieli za dobrą wróżbę. Był i drugi wypadek. Pokojowy Koniecpolskiego wioził z Warszawy do kompanii chorągiew i kilkaset czerwonych złotych w sakwach; napadł na Tatara, który się błakał po rozgromie, pojął go i przywiódł do kompanii. Koniecpolskiemu ztąd przepowiadali wszyscy sławne kiedyś hetmaństwo.

Po wojnie, skonfederowane wojsko, smakując w rabunkach i w życiu bez pracy, lupieżyło w różnych stronach rzplitej. Swawolnemi tłumami tu i owdzie dowodził jaki zuchwały żołnierz. Jeden z nich, Karwacki, rozbijał na Rusi Czerwonej, po Ukrainie chodząc. Hetman Żółkiewski przeciw niemu posłał Koniecpolskiego. Ściągnął młody wojownik załogi kwarciane z twierdz ruskich pod Halicz, uderzył na Karwackiego, kupy jego rozbił, a samego i starszyzną wziął do niewoli. Żółkiewski srodze ich pokarał we Lwowie r. 1614. (Przylęcki str. 168, Wójcicki, Pamiętniki do panowania Zygmunta III i t. d. tom I str. 42, J. U. Niem. Panowanie Zygmunta III wyd. Turowskiego t. III str. 31.)

Został za tę może przysługę dla rzplitej Koniecpolski w r. 1615 podstolim koronnym po Stanisławie Niemojewskim, który poszedł na kasztelanię elbląską. (Pierwszy raz z takim tytułem czytamy go pod d. 26 stycznia 1616 r. u Mysbacha: Wiadomości do dziejów polskich, str. 248.)

Żółkiewski dał Koniecpolskiemu córkę swoją Katarzynę w małżeństwo. Krwią go swoją wynagrodził. Albert Proczyński napisał panegiryk na to wesele, pod napisem: *Chorus nuptialis*. (Przylęcki str. 226.) Małżeństwo nie wstrzymało pana młodego od zabaw ry-

cerskich; nie na prowadzenie sielanki dał mu hetman córkę swoją. Ówczesne pokolenie ludzi było żelazne, w niebezpieczeństwach hartowało ducha. Niczem inném, jak tэм samém pragnieniem boju wytłumaczyć można konstytucją sejmową z maja 1616 r., na mocy której pozwolono mu na lat trzy surrogatora posadzić do grodu. (Vol. legum III 282.) Jakoż we wrześniu 1617 r. widzimy Koniecpolskiego w obozie nad Dniestrem pod miasteczkiem Jaruga, obok innych regimentarzy, w nieszczęśliwej owej wyprawie Żółkiewskiego, która się skończyła, traktatem pod Buszą. (Naruszewicz, Żywot Chodkiewicza, wyd. Turowskiego, II 143.) Pod owe pewnie czasy przypada śmierć podstoliny koronnej. Małżeństwo to zaledwie trwało półtora roku. Hetmanówna „synaczka Andrzeja porodziwszy, Panu Bogu ducha oddała i z tymże synaczkiem. Przy zamku synaczek w kościele, a matka w Koniecpolu pochowana, na którym pogrzebie Żółkiewski hetman polny był i Daniłowicz wojewoda ruski.“ (Przylęcki str. 168.)

Żółkiewski, mimo to że polagały się w tak bolesny sposób stosunki pokrewieństwa z Koniecpolskim, nie odwrócił od niego serca. Miał go niegdys zięciem, teraz chciał mieć w urzędzie hetmańskim spółtowarzyszem. Gdy król albowiem dał Żółkiewskiemu wielką buławę, która tak długo wakowała po Zamojskim, starzec na polną zaraz przedstawił Koniecpolskiego, który miał wtenczas lat około 28. Naturalnie, że obudziło to zazdrość innych ambitnych a starszych wojowników; ale Żółkiewski utrzymał się przy swoim: Koniecpolski został hetmanem polnym. (Przylęcki str. 168.)

Ożenił się drugi raz młody hetman r. 1619 z Kryną Lubomirską kasztelaną wojnicką, siostrą Stanisława podczaszego kor. Urodziła ją „wielkich cnót matrona z domu zacnego Branickich, zwierciadło pań zacnych i matron poczytych.“ Wesele odbywało się w Krakowie, a pochwałę łacińską, zwyczajem wieku, napisał Albert Miernikowicz, professor w Akademii. (Przylęcki str. 169 i 226.)

Ledwie coś z ćwierć roku przeszło, nastąpiła wyprawa do Wołoch, sławna drugą kłęską cecorską. W kole rycerskim radzono hetmanom, aby na granicy polskiej i wołoskiej nad Dniestrem pod Chocimem obóz założyć; Żółkiewski miał tam zostać, nie prowadząc garstki wojska w dzikie pola, a Koniecpolski powinien był uderzyć z częścią wojska wybrakowanego pod Tchiną, dla wstrzymania Skindera baszy. Koniecpolski ochozo się tej wyprawy podejmował, ale i starzec hetman wolał niebezpieczeństwo, jak bezpieczną spokojność; dlatego rady nie przyjął i wkroczył do Wołoch ratować Gracyana, tak przychylnego rzplitej. Chciał naprawić ohydę traktatu pod Buszą. Przeszedł Dniestr pod Śledziówką i w dni kilka 12 września był już na polu cecorskim, na którym kazał mu Gracyan czekać wiadomości o nieprzyjacielu. Kiedy nadciągnęli Turcy, codzienne już zawiązywały się boje. Coraz gęstsze chmury sciskały Polaków, w obozie rady i złośliwe wieści, że hetmani myślą uciekać. Ten i ów opuszczali chorągwie i wracali za Dniestr bez wiedzy, a nawet wbrew woli hetmanów. Radzili i Żółkiewski z Koniecpolskim, jak przebić się do granic polskich, bo bitwy stoczyć nie mogli po stratach w boju i ucieczce tylu trwożliwych ludzi. Otaborowawszy się więc, uchodzili obronną ręką. Gniewał się Koniecpolski na to, że woźnica i liczna czeladź pod Cecorą zrabowała namioty hospodara Gracyana i drugich panów, ale nie mogąc na miejscu ukarać zuchwałstwa, wymówił się nieostrożnie że nad Dniestrem śledztwo i sąd złoży. I w istocie, kiedy w cofaniu się ujrzał hetman Dniestr, już odgraczać się zaczął. Ci co poczuli się do rabunków, na konie wpadłszy, porzucili tabory i uciekali wplaw do Polski. Nastąpiła kłęska, wśród której kwiat rycerstwa polskiego nalożył głowę. Żółkiewski poległ. Koniecpolski długo się bronił, aż go Wołosza wzięła do niewoli i oddała Skinderowi baszy. Kazał zwycięzca pędzić hetmana polnego do Białogrodu i sam sławą nadęty pojechał tam niedługo; ale Turcy przez zazdrość otruli go zaraz. Koniecpolski więc zesłany był do Carogrodu, pospołu z księciem Koreckim, Łukaszem Żółkiewskim i Jerzym Farenbachem. Trzy lata cierpieli w więzieniu w Jedykule. (Pamięć. do pan. Zyg. III i t. d. tom I str. 81.)

(Dokończenie nastąpi.)

Kronika tygodniowa.

Szanowny kronikarzu!

„Znowu piszę do ciebie.....

A nie wiem czy pamiętasz, żeś mi winien już niewygasłą wdzięczność. Było to trzy miesiące temu....

W owym czasie skończył się był właśnie tak zwany karnawał, a ty suszyłeś sobie głowę, jak oznaczyć granicę pomiędzy szmalcem a śledziem, granicę tak niepewną jak ta, która stany północne Ameryki od południowych oddziela.

Napisałem ci wówczas list, który zapelniał całe miejsce na kronikę twoją oznaczone. Dzisiaj zamierzam ci taką samą wyświadczyć przysługę.

Jeżeli masz coś lepszego na myśli, nie przeszkadzaj mi, pisz, a list mój uważaj za niebyły. Jeżeli zaś, co bardzo prawdopodobne, w obrębie który twój obowiązek sprawozdawczy obejmuje, żaden ważniejszy wypadek od jednej soboty do drugiej nie zaszedł, to jak Tytler Wirgiliusza podziękuj bogom za ów słodki spoczynek, (dulce otium), który ci moja chęćka do pisania przysparza i poszlij ten list do drukarni.

A nie przestraszaj się zabardzo; mam ci bowiem pisać o pogrzebie— lecz pogrzeb, to najżywotniejsza rzecz jaka istnieje. Pisał filozof starożytny:

„Kiedy widzisz śmierć, myśl o życiu, kiedy narodzenie przesuwaj ci się przed oczami, rozmyślaj o śmierci.“

Jedno drugie płodzi na tym świecie. Z życia wypływa śmierć, z śmierci życie promienieje.

Ale dość już tych uwag ogólnych, przystąpmy do rzeczy.

Owóz pewnego dnia szliśmy za pogrzebem.

Dziwny to był ten pogrzeb, niezawsze się takie zdarzają.

Karawan bardzo był ubogi, jeden z tych karawanów, co to już wiele się nasłużyły pod trumny i natłuki po bruku warszawskim. Czarne sukno wytarte, tu i owdzie lata z gruba przyfastrygowana. A ci którzy przyszywali te łaty, wcale sobie nie zadali snadź pracy żeby ukryć ściegi. Sterczały one widoczne, szarzące, dając świadectwo o długiej służbie żałobnego kiru i o dokładnym jego poznanieniu się ze śmiertelną postugą. Każda z tych łat miała zapewne swoją historją, swój wypadek, swój powód istnienia. Tu może zaczęła się trumna, nie chcąc rozstać się z tym wozem, który ostatnie ślady życia zachowywał dla niej. Ten strzęp, to chyba wydarły zeszytyniałe palce rozpaczły biędnej wdowy, albo sieroty, wzdrygającej się przed wiecznym rozdziałem. Ileż to tam łez spłynęło, ile westchnień poszło w niebo, ile wyrzekau zgłoszył ponury odgłos śmiertelnego wozu!

Tu i owdzie zapomniano łaty wstawić, a drewno wprost wyglądało przez otwartą szparę. I dziwiło się słońce że tak pięknie świeci, boć ono tego niezwyčajne pod czarną swoją zasłoną, która przyrosła na niem jakby nowa kora, po postradaniu tej, jaką mu niegdys natura udzieliła.

A i taśmy białe, okalające sukno, utraciły prawie całkiem pierwotną swoją barwę: zbrukał je dym pochodni, kurz i błoto uliczne, i ten oddech miejski, który po pewnym przeciągu czasu kała wszystko na co spada. A szczególniej owemu białemu kolorowi trudno się utrzymać pod jego działaniem. O trudno bardzo! Czy pokrywa on niewinności szatę, czyli też otacza tylko brzegi żałobnego kiru, wprędce traci pierwotny blask swój i czystość i staje się strzępem, którego pierwotną barwę z pierwszego wejżenia trudno odgadnąć. A i trumna, stojąca na karawanie, nie odznaczała się wcale tą wykwintnością kształtu, którą rzemieślnicy, żyjący z postugi śmierci, ozdabiają ostatnie pomieszczenie nasze. Nie krył jej aksamit ani sukno srebrnymi obite gwoździkami. Żadnych rzeźb ani wyginań nie dopatrzyłbyś na niej. Majster sporządzający ją nie łamał sobie głowy, jakim sposobem parę talarów więcej wyciągnąć z żalu osieroconych śmiercią ukochanej istoty, albo z przyzwoitości światowej zбогаconych spadkobierców.

Była to prosta trumna sosnowa, pomalowana na czarno. Deski wyciosane na grubo, zaledwie zheblowane, zbite bez żadnego starania. A nie świecił się z wierzchu lakier ani politura żadna; po tych deskach przeszedł tylko wprost pędzel z sadzami rozczynionemi wodą.

Nie było sobie snadź dla kogo kłopotu zadawać, bo i blacha nawet, co przybita do trumny służy za ostatnią etykietę zmarłemu, z prostej była cyny. Nie mieliby się na co łakomicz złodziejce, co nie wzdrygają się nawet w tych trumiennych ozdobach szukać łupu dla siebie. Owe czarne litery skreślone na pamiętkę zmarłemu w ciemnym jego pomieszkaniu, mogły tam wiecznie pozostać. Metal wartujący kilka groszy, nie skusi chciwości niczyjej. I to korzyść.

Więc orszak pogrzebowy włókł się zwolna, a konie, ze spuszczoneimi łbami ciągnące karawan, wydawały się żywą ironją artykułu w jednym z tutejszych pism umieszczonego, który zarzucał karawaniarzom, że nazbyt żywe i niespokojne rumaki wprzegają do swoich żałobnych wozów. O to nie było obawy. Trzęsąc się na wychudłych i wykrzywionych nogach pod

czarnym swoim pokryciem, szły one powoli, zatrzymując się za każdym zawadzeniem karawanu o dół brukowy, których tyle wyślubiła u nas jazda uliczna, a pozostawiła bez naprawy niedbałość. A za każdym takim przystankiem, karawan ulegał wstrząśnieniu od dołu do góry, trumna podskakiwała na swoich podstawach wydając głuchy łoskot, a karawaniarz siedzący na koźle, budząc się ze słodkiego snu, który miłemi marzeniami skracał dlań tę podróż codziennie odbywaną, powstawał z miejsca i zamachnąwszy się silnie, zaciął biczem jednego i drugiego konia, pobudzając je tym wielce wymownym argumentem do dalszej drogi. I konie, zebrawszy ostatki sił, mocno się targnęły, a karawan, po drugim gwałtowniejszym jeszcze wstrząśnieniu, posuwał się dalej, turkocząc i skrzypiąc nieznośnie, jak gdyby już, już miał się rozlecieć w kawałki.

Księży było bardzo niewiele, a i ci odprowadzili zmarłego zaledwie do połowy drogi, i po za Nalewkami zostało się tylko trzech, mających już orszakowi pogrzebowemu aż na cmentarz towarzyszyć.

Już słyszę, panie kronikarzu, jak zarzucasz mi niekonsekwencyę.

— Czegóż chce ten mój korespondent? powiesz zapewne sobie. Upredza mnie z góry o dziwnym jakimś pogrzebie. A cóż to dziwnego? Pogrzeb zwyczajny; takich kilka, kilkanaście wydarza się na dzień w Warszawie, gdzie, jak wszędzie, więcej jest ludzi ubogich, aniżeli zamożnych. Kto nie ma czem opłacić bogatej trumny i wystawnego karawanu, ten w skromnym przyborze musi się udawać na miejsce wiecznego spoczynku. A zresztą czyż to nie na jedno wychodzi? Świadkiem Dyogenes, który przy swoim trupie kazał położyć kij, dla odpędzania psów i kraków żarłocznych.

Zapewne, panie kronikarzu, zapewne. Ale sam przyznasz, że za ubogimi pogrzebami, zwykle także bardzo chudy orszak postępuje. Ubóstwo niewielu znajomych gromadzi w życiu, a wystawność karawanu ciągnie po za sobą i orszaku wystawność.

Ale tutaj zupełnie przeciwnie się działo. O ile karawan był wytarty, trumna prosta i cały przybór ubogi, o tyle znów roilo się ludzi za wozem pogrzebowym. Było ich mnóstwo różnego stanu, wieku, powołania. Zalegali całą szerokość ulicy, cisnęli się na chodnikach, tamując przejście.

Łączyły mnie z umarłym dość oddalone stosunki. Zajmował on w świecie skromne bardzo miejsce, i wyznaje szczerze, iż zdziwiła mnie tak znaczna liczba towarzyszących jego pogrzebowi. „Szczęśliwy, rzekłem sam do siebie, szczęśliwy ten, kto potrafi sobie tylu zjednać przyjaciół. Bo ta ostatnia przysługa jaką nam oddają, jest dla nas jakby świadectwem życia. To niejako symboliczne utrzymanie pogrobowego egipskiego sądu. Kto za życia umiał sobie zjednać serca ludzi, temu oni odśługują się w tej ostatniej pośmiertnej podróży.

— Czyliż tak niezmiennie przekonany jesteś o tém? odezwał się przy mnie głos jakiś.

Obejrzałem się i spostrzegłem dobrego znajomego, który idąc także za pogrzebem, zbliżył się do mnie i usłyszał powyższy mój monolog.

— A to ty, panie sceptyku, odezwałem się, uscisnąwszy go za rękę. Wiem ja dobrze, iż ty niczemu nie wierzysz i twierdzisz że w tém właśnie prawdziwa leży mądrość. Ale powiedz sam, czyliż to nie jest ostateczna próba?

— A zkadże znów? odpowiedział. I co to szkodzi komu przespacerować się za pogrzebem? Piękny dzień, niema błota, więc i idą ludzie.

— Zapewne że to także powód. Ale przyznasz mi iż pomiędzy tymi wszystkimi, którzy korzystają, jak mówisz, z pięknego dnia i braku błota, musi być także i wielu przyjaciół zmarłego.

— I któż temu przeczy? Miał ich, miał mnóstwo, za wielu nawet.

— Jakto za wielu?

— A tak, bo gdyby nie ci przyjaciele, nie widziałbyś go zapewne w tej nędznej trumnie, na lichym karawanie wiezionej. Ten człowiek, to istne wcielenie bajki Krasickiego o zającu. Zabardzo był przyjacielskim, zanadto go kochano. Więc też ci przyjaciele stali się prawdziwą klęską jego życia, przywiedli go do ubóstwa, przyprowadzili o klęski różne w życiu, a nareszcie o śmierć. Tak jest, śmierć swoje winien on wyłącznie przyjaciołom.

— Więc znasz cały przebieg jego życia?

— A znam najdokładniej, chociaż muszę sobie oddać tę sprawiedliwość, że nigdy przyjacielem jego (w znaczeniu jakie wy zwykle przywiązujecie do tego wyrazu) nie byłem. Sądzę więc że jeżeli co pozostaje się z nas poza grobem, jeżeli jakiegokolwiek poczucie słuszności istnieje tam pod względem naszych spraw ziemskich, dusza tego człowieka nie powinna mieć

żadnego żalu do mnie; nie zawiniłem mu bowiem taką przyjaźnią, która bywa czasem, jak miałem zaszczyt ci powiedzieć, największą klęską.

— A wiesz, zaostrasz moję ciekawość. Prawdziwie wdzięcznym byłbym ci, gdybyś mnie chciał opowiedzieć rys życia tego człowieka i tym sposobem usprawiedliwił choć w części dziwne swoje twierdzenie, jeżeli ono może być usprawiedliwione.

— Nieciekawka to historia; ale jeżeli chcesz koniecznie, opowiem ci ją pokrótce, choćby dla nauki, żebyś się nie oddawał, tak jak on, zbytym serca popędem i jak on nie wyszedł zle na t. m. Bo serce, powiadam ci, jest jak drogocenny szafir, który potrzeba nosić w starannej oprawie, chroniącej go od wszelkiego zetknięcia się z obcymi przedmiotami; inaczej szafir łatwo wyszczerbi się i zmieni barwę, a potem nie przywrócisz go już do dawnego stanu.

— Dobrze, ale mów coś miał powiedzieć, bo już dobrą połowę drogi uszliśmy i rogatki niedaleko.

— Nie lękaj się, moje opowiadanie niewiele ci zajmie czasu. Antoni R** przyjechał tu przed kilkunastu laty z prowincyi, w zamiarze wyszukania sobie miejsca. Nie był on zupełnie pozbawionym funduszów, miał nawet mająteczek, który w miejscu urodzenia mógłby mu zapewnić niejaką niezależność. Ale ciągnęło go do Warszawy owo pragnienie zaznajomienia się z życiem stołecznym, które podówczas dla każdego młodzieńca w świat wychodzącego niezmierny miało powab, a przytém marzył o otworzeniu sobie tutaj tak zwaną *karyerę*. Głupi cudzoziemski wyraz, który już niejednemu z nas zamącił w głowie!

Antoni, przybywszy tu ze spieniężonym kapitałem; wszedł odrazu w towarzystwo ludzi swojego wieku, którzy okazywali się dlań bardzo *przyjacielskimi*. To ma się znaczyć, że obznajmiali go z życiem warszawskim, bardzo ruchliwem i hucznym podówczas, podobnym do gorączkowych marzeń, które napadają człowieka podczas snu twardego. Samo z siebie się rozumie, że Antoni, jako wprowadzany i wprawiany dopiero w te modne podówczas pohulanki i uctowania, musiał płacić częściej aniżeli inni i wprędce stracił większą połowę kapitału jaki przywiózł z sobą.

Opatrzył się jednak dość wcześnie i postanowił szukać sposobu zarobkowania.

— Mam tylu przyjaciół, rzekł sam do siebie, niepodobna więc żeby nie wyszukali dla mnie korzystnego jakiego miejsca. Pocznę się starać i uprzedzę ich o t. m., a dopomogą mi niezawodnie.

I w istocie nie mylił się. Skoro tylko oświadczył zamiar swój przed przyjaciółmi, pochwalili go jednoznacznie i wskazali mu drogi jakimi ma się udać, obiecując wszelkie ze strony swojej poparcie.

Ale nieszczęsna jakaś gwiazda ciążyła nad Antonim. Był on zdolny, zabiegły, a nawet, o co daleko trudniej u nas, wytrwały w raz powziętym zamiarze. Wziąwszy się więc całym sercem do dzieła, natrafiał na dość przyjazne okoliczności. Kilka razy zdarzyło mu się, że bardzo korzystne posady same prawie wchodziły mu w ręce. Ale cóż? Za każdym razem nastęczał się jaki przyjaciel, który się o t. m. samą posadę starał. Jak tu przeszkodzić przyjacielowi i wchodzić mu w drogę? Antoni odstępował więc od celu swoich starań, owszem dopomagał przyjacielowi, sądząc że kiedyś zarobi sobie wzajemność. Tak się jednak nieszczęśliwie zdarzało, że zawsze on tylko ustępować musiał i to, co z wielkim trudem wyrobił dla siebie, szło na korzyść drugich. Przyjaciele chwaliли go, cenili, kochali, ale wszystko kończyło się na t. m. Zdarzało się nawet że miejsca które mu wystawiano jako zbyt trudzące a zamało przynoszące dochodu, inny, korzystając z jego zabiegów, przyjmował, mówiąc:

— To dobre dla mnie, ale nie dla ciebie. Ty zasługujesz na coś lepszego. Nie darowałbym sobie nigdy, gdybym takiego jak ty przyjaciela zaprzęgał do tej ciężkiej a niewdzięcznej pracy. Jak się znajdzie coś korzystniejszego, to sam ci powiem: bierz! — ale tymczasem lepiej szukać i czekać na lepsze, aniżeli sobie lada czem związać ręce.

I Antoni pomyślał i wyczekiwał, aż nareszcie przytrafiła mu się jakaś drobna posadka, której żaden jego przyjaciel nie chciał wająć, bo za całodzienną pracę zaledwie tysiąc paręset złotych przynosiła rocznie. On jednak zadowolił się i t. m., kontent że nikomu nie wchodzi w drogę.

Bezustannem staraniem i pracą zapewniwszy sobie jakkolwiek mierne utrzymanie, Antoni zapragnął ożenić się; lecz tu też sama przekora spotykała go na każdym kroku. Bywał w wielu towarzystwach i lubiono go, w wielu rodzinach nazywano go nawet przyjacielem domu, ale to właśnie przeszkadzało mu

do wejścia w bliższe stosunki. Kto zna choć cokolwiek kobiety, ten niewątpliwie doszedł już do tego przekonania, że człowiek którego one wszystkie lubią, nie będzie kochany od żadnej. Tak się też stało i z Antonim. Wszystkie panny którym się starał podobać, uważały go jak brata, używały go nawet jako powiernika w sercowych sprawach; ale musiał przestawać na t. m. Bywał on zawsze pośrednikiem, nigdy stroną interesowaną. Co gorsza, sami właśnie przyjaciele zabierali mu panny, nieraz piękne i posażne. I dla czegoż miałyby być inaczej? Któż sobie czyni jakie zachody z przyjacielem, kto się troszczy o niego? Jego rzeczą było ciągle dopomagać i robić ułatwienia, a inni korzystali z t. m. pomocy i nie dziękowali mu nawet. Boć to jego był obowiązek. Każdy w danym razie zrobiłby to samo dla niego. Tylko w t. m. biada, że ten dany raz nigdy się nie nastęczał i Antoni pozostał bezżennym.

Ale stał się prawdziwym przyjacielem domu wszystkich tych, którzy z jego łaski pobrali sobie żony, a posagami ich znacznie polepszyli materyalne położenie swoje.

Zdarzyło się jednak iż szczęście Antoniemu zdawało się raz uśmiechać. Umarł pewien jego krewny, zostawiając mu część swojego majątku. Lecz inni krewni, współdziedzi, zaprzeczali mu tego spadku. Wywiązał się ztąd proces, który, jak się zdawało, Antoni powinien był wygrać, zgodzano się bowiem ogólnie, że sprawa jego dobra.

Antoni miał serdecznego przyjaciela, adwokata; je mu więc poruczył sprawę. Naturalnie, pomimo nalegań Antoniego, adwokat nie chciał przyjąć żadnych honorariów, bo jakże tu brać zapłatę od przyjaciela? ale koszta były znaczne i trzeba było na nie forsusować. Poszła na to reszta kapitaliku Antoniego, który sobie w przewidywaniu cięższych czasów zachował.

I mniejsza zresztą o to, gdyby proces wypadł był dla niego pomyślnie; szło bowiem o znaczną sumę, która mogła Antoniemu całą zapewnić przyszłość.

Ale inaczej zupełnie się stało. Sprawa Antoniego, jako przyjaciela, zaniedbaną została po przyjacielsku.

Wszystkie inne szły przed nią; popiérano leniwie proces, nie dopilnowano terminów i t. d. i t. d. Tak więc instancya za instancyą, szły niepomyślnie wyroki, a Antoni nie śmiał nic mówić, bo jakże się tu dopominać u człowieka, który za nas trud i staranie ponosi bez żadnej zapłaty? nie śmiał odbierać akt od niego i zanieść je drugiemu, bo jakże tu obrażać tak serdecznego i bezinteresownego przyjaciela? Koniec końców zapadł wyrok w ostatniej instancyi i Antoni przegrał sprawę na głowę. Stracił wprawdzie na tym interesie kilkadziesiąt tysięcy złp., oraz ostatki swojej ojcowizny, które poszły na koszta procesu, ale zyskał wzamian przekonanie, że posiada w adwokacie przyjaciela, który bez zapłaty prowadził dlań trudny proces przez całe trzy instancye.

Pomimo tego tak pocieszającego przekonania, biedny Antoni przechorował całą tę sprawę i od tego czasu nie mógł jakoś wrócić do zdrowia; miał jednak znów tę pociechę, że lekarz przyjaciel leczył go darmo, a przyjaciel aptekarz sprzedawał mu o 10% taniej niż komubądź innemu zapisywane lekarstwa.

Nie skończyłbym, gdybym chciał ci opisywać wszystkie klęski jakie jedne po drugiej spadały na Antoniego, a w każdej z nich jakiś serdeczny przyjaciel musiał grać swoją rolę.

Dość ci powiedzieć że skutkiem owęj nieuleczonej słabości, w którą zapadł po przegraniu swojej sprawy, cherlał biédak długo, aż nareszcie położył się na dobre w łóżko, żeby już nie wstać. I byłby może powrócił do zdrowia, gdyby nie to, że leczył go przyjaciel lekarz, który nie chciał nie brać za wizyty. Antoni nie śmiał więc posyłać po niego, kiedy mu się gorzej zrobiło, czekając aż, zmiłowawszy się nad nim, sam przyjdzie, t. m. bardziej zaś nie śmiał mu robić uwagi jeżeli które lekarstwo nie pomagało, ani objaśnić go o rzeczywistym stanie swego zdrowia, lękał się bowiem zrazie przyjaciela. Aż nareszcie zmarł i jak widzisz idziemy dzisiaj za jego pogrzebem. Na tę ostatnią posługę zebrał się snadź wszyscy przyjaciele nieboszczyka. Niemała ich liczba, i rozpowiadają teraz jeden drugiemu, ile to mu przysług oddali za życia. Ale otóż i Powązki.

I rzeczywiście przez czas tego opowiadania przebyliśmy resztę drogi i stanęliśmy przed bramą cmentarza. Nie wiem czy karawaniarze niosący trumnę byli przyjaciółmi zmarłego, ale to pewna, że upili się na frasunek i o mało co razem z trumną nie przewalili się na ziemię. A ja, powróciwszy do domu, postanowiłem skręślić za świeża wszystko to co słyszałem. Może też ta moja bazgranina przyda się komu na co."

POMNIK

KAŻMIRZA BRODZIŃSKIEGO,

W KOŚCIELE PP. WIZYTEK W WARSZAWIE.

Na początku bieżącego roku znakomity nasz rzeźbiarz Władysław Oleszczyński, ustawił w kościele panien wizytek w Warszawie posąg z kamienia naturalnej wielkości Kaźmirza Brodzińskiego, (1) którego wierny przerys w drzeworycie tu załączamy. Niedawno ukończony został piedestał, a na nim czytamy następujący napis:

Kaźmirz Brodziński,

Urodzony 1794 r.

† d. 10 października 1835 r.

Eustachy Marylski,

b. uczeń uniwersytetu warsz.,
swemu profesorowi.

Artysta szczęśliwie pochwycił i postać całą i oblicze poety, pełne wyrazu prostoty, dobroci i rzetelności. Stoi z pochyloną głową, zamysłony, trzymając w ręku książkę.

Szlachetnym uczuciem obywatelskim wiedziony wdzięczny uczeń, tym posągiem obudza pamięć poety-żołnierza, którego imię i zasługi w sercu narodu nie zgasną. Pierwotnie ustawić go chciał w ogrodzie wsi swojej *Książenice*, za Raszynem, w miejscu ulubionym przez Brodzińskiego, gdzie siadywał, gdy przybył w to ustronie wiejskie, gdzie oddychał swobodnie, otoczony gronem uczniów swoich i przyjaciół życzliwych. Ale później p. Marylski zmienił zamiar i przeznaczył posąg do kościoła panien wizytek, w którym młodzież ucząca się słucha zwykle nabożeństwa, aby wdrukować w jej pamięć rysy znakomitego pisarza.

RZYSZCZÓW,

z kościołem cudami
słynącym.

Zazwyczaj u nas sadyby naddnieprskie i innych rzek przypisują najnieśluszniej Grekom. Jabym mniemał, opierając się na jedynych dziś dowodach, t. j. etymologii i fonetyce, że wszystkich naszych miast dawnych założycielami są Polanie, potomkowie założycieli Kijowa. Na tém też opierając się, przypuszczam że Ryszczów wziąć mógł swą nazwę od *rzyska*, czyli pola po żłtetem zbożu, i że pierwotnie nazywał się Ryszków, aż z czasem z urabianiem się języka Polan, przez zmianę spółgłosek powstał Ryszczów.

W dzisiejszym to Ryszczowie, leżącym w gubernii kijowskiej, powiecie kaniowskim nad Dnieprem, założony był klasztor i kościół drewniany r. 1765 przez starostów traktymirowskich Stanisława i Urszule

z Nitostawskich Szczeniowskich, którzy osadzili tu trynitarzy i nadali im wieś Szczuczynkę, o milkę w dół zład leżącą nad Dnieprem. OO trynitarze rządili tą parafią, liczącą 65 wsi i 5 miasteczek, do roku 1832, t. j. do swęj kassaty.

Od r. 1819 przełożony klasztoru, ks. Józef Czar-

go ks. Pawła Piotrowskiego, pod godłem dawniejszemu św. Trójcy. Kościół wznosi się na byłym ementarzu, obrócony frontem do miasta, a wielkim ołtarzem do Dniepru; Dniepr w maju pod sam mur kościelny rozlewa się, dokąd bajdaki i parowce podchodzą. Nad świątynią jasnieje glob z krzyżem drewnianym, wsparty na piramidzie obitej blachą, z napisem: „Bóg jest opatrzny.“

Po śmierci ks. Czarnecznego r. 1851, został proboszczem ks. Ludwik Chyżyński, który poświęceniem się pocziwem i gorliwem, z pomocą parafian bogobojnych, z każdym rokiem swój kościół więcej przyozdabia. Ołtarzów w nim jest pięć. W wielkim Pan Jezus cudami stynący, w całej postawie, malowany na płótnie przybitem do drzewa, z obliczem niewypowiedzianie pociągającym. Dzisiejszy proboszcz, przy pomocy pobożnych parafian, zamierza ołtarz ten z gruntu odnowić. Dwa boczne ołtarze ozdobiono świeżo pilastrami w stylu średniowiecznym. Kościół posiada także kilka niezgorszych malowideł; brakuje tylko dotąd obrazu godłowego Trójcy Przenajświętszej, który podobno właścicielka Chodorowa, p. Eustachowa Janowska, ma zamówić u artystów warszawskich. Na chórze w pół-owal murowanym, gdzie mieszczą się nowe organy, na zewnętrznej stronie w miniaturze namalowane są wizerunki wszystkich prawie papieżów. Kościół cały schludnie utrzymany, za co wdzięczność należy się proboszczowi. W okrag kościoła są grobowce: Hołowińskich, Eustachego Jankowskiego i innych.

Ryszczów od Woroniczów z całą majątnością przeszedł do Józefa Działyńskiego, generała zasłużonego krajowi, potem do syna tegoż Zygmunta, rodzącego się z Woroniczówny, który z dwóch swych żon a córek Wodzickiego, byłego prezesa b. rzplitej krakowskiej, zostawił potomstwo dotąd żyjące.

Wjeżdżając do miasta, po prawej stronie nieopodal, widać cmentarz katolicki w ładnym położeniu, obrócony ku Dnieprowi, mający dość ozdobne nagrobki i starannie utrzymany.

Bolesław z Ukrainy.

KORRESPONDENCYA

Tygodnika Ilustrowanego.

Wrocław, w końcu
maja 1863 r.

Szereg zabaw zimowych, jak różnobarwna wstęga rozciągających się przez porę słotną i śnieżną aż do świąt wielkanocnych, w tym roku zakończony został gościnnym wystąpieniem p. Bogumiła Dawisona, artysty dramatycznego teatru nadwornego w Dreźnie na scenie tutejszej. Wystąpienie to jednak ograniczyło się w szczupłym obrębie kilku przedstawień, a święty, niezaprzeczone dało dowód, że Dawison ze wszechmiar zasługuje na hołdy, którymi i tu obsypywano go. Od rana już publiczność oblegała kasę, aby dostać



POMNIK K. BRODZIŃSKIEGO w kościele pp. wizytek w Warszawie. (Rysował z oryginału Tegazzo).

(1) W następnych nrach Tygodnika damy o nim obszernie wspomnienie. (Przyp. red.)

necki, z ofiar zebranych, a najwięcej poparty funduszem Zacharyusza Hołowińskiego, ojca żyjącego a znanego zaszczytnie Zenona, i Remiszewskiego, pocziwego dzierżawcy dawnej daty, których portrety wiszą w zakrystyi, zmurował dzisiejszy kościół, poświęcony r. 1829 d. 8 września przez archidjakona kijowskie-

go ks. Pawła Piotrowskiego, pod godłem dawniejszemu św. Trójcy. Kościół wznosi się na byłym ementarzu, obrócony frontem do miasta, a wielkim ołtarzem do Dniepru; Dniepr w maju pod sam mur kościelny rozlewa się, dokąd bajdaki i parowce podchodzą. Nad świątynią jasnieje glob z krzyżem drewnianym, wsparty na piramidzie obitej blachą, z napisem: „Bóg jest opatrzny.“

biletów, a celniejsi fotografowie dobijali się o pierwszeństwo zdjęcia wizerunku sławnego artysty. Portret przez Weigelta zrobiony, najlepiej się udał; więc przysłał go wam dla umieszczenia w Tygodniku, bo w piśmie zwracając sumiennie uwagę na wszystko, cokolwiek polska wydała znakomitego, powinna być mowa i o artyście, którego Europa liczy dziś do mistrzów w sztuce dramatycznej.

Z pierwszymi promieniami słońca wiosennego, ogarnia człowieka chęć uciekania z dusznych murów miasta, a bujania po bożym świecie, gdzie wszystko odradza się. W dziennikach kąpiele, tak krajowe jako też i zagraniczne, ogłoszeniami wabią, a kto może, pakuje swe manatki, aby podążyć za głosem zwodniczej nieraz najady. Ale jak pismo św. mówi: dużo jest powołanych, a mało wybranych; kogo interesa zatrzymują na miejscu, ten w dnie świąteczne zaledwo zdoła odbywać wycieczki do sąsiednich gór, lub innych miejsc okolicznych. Do rzędu takich należą, między innymi, i kupcy miejscowi, zajęci zaopatrywaniem się w to wszystko, co zwać może gości przybywających na targ wełny, lub przejeżdżających do wód. Tym razem jednak mylą się podobno w rachubach, bo, jak się zdaje, targ bynajmniej nie będzie pomyslny, a w liczbie udających się do wód zbywać będzie na owych „dobroczyńcach“ z sąsiedniej Polski, za pomocą których niejedyn już z dorobkiewiczów tutejszych doszedł do pięknego majątku.

Wystawa obrazów nie jest w tym roku ani tak świetna, ani tak licznie odwiedzana, jak to dawniej bywało, a przyczyną tego zapewne szukać trzeba w umysłowym nastroju chwili. W dziedzinie krajobrazów odznaczają się: Lena (widok fiorda norweskiego), Kalkreuta z Wejmaru (pejzaż z gór pyrenejskich), Schultana z Düsseldorfu (punkt w Alpach bawarskich) i prace Knorra z Królewca. Godnymi reprezentantami sztuki rodzajowej (genre) są: Baumgartner z Monachium (przerwany obiad), Cretius (wieczór Moccoci w Rzymie), Grün (kąpiel dziecienna), Hildebrandt (powrót do domu), wszyscy trzej z Berlina, von Oer z Dreżna (złote dnie wejmarskie), Romberg (plama atramentowa), Schmidt (komedyanci wędrujący), obaj z Monachium, i Schreyer (Arabowie w ucieczce) z Paryża. Po-

między szczupłą liczbą obrazów historycznych zastępują na wzmiankę: Begasa z Berlina przyjęcie protestantów salzburgskich przez króla Fryderyka Wilhelma I, Northena bitwa pod Belle-Alliance, utwór pełen życia i pięknego ugrupowania, na małej stosunkowo przestrzeni, Volkharta z Düsseldorfu scena w gmachu chorego Karola II króla angielskiego. Nad wszystkimi obrazami, nietylko rodzaju historycznego, ale całej wystawy, góruje karton ogromnego rozmiaru Wohnlicha z Monachium, rodowitego Szlązaka, przedstawiający Krzysztofa III palatyna, opuszczającego Heidelberg, aby koronować się na króla duńskiego. W tej pracy, krędką i wizorem wykonanej, podziwiać należy obok pomysłu w wielkim stylu, obfitość figur umiejętnie ugrupowanych i staranne wykonanie. Utwory takiego rodzaju świadczą o głębokich i długoletnich studiach. W obrębie malowideł architektonicznych, Wolf przysłużył się pięknym widokiem kate-

dry i kościoła św. Krzyża w Wrocławiu, professor Hennig z Lipska wystawił złożenie do grobu Zbawiciela, a Lachenwitz z Düsseldorfu zbogacił zbiór obrazem przedstawiającym strzelca norweskiego, przez niedźwiedzia napadniętego. Resch, Hamacher i Brehmer dostarczyli portretów, starannem odznaczających się wykonaniem.

Inna wystawa, wywołana przez współbieganie się, nieza długo będzie otwarta. Fotografowie tutejszego miasta, pragnąc dać dowody swej umiejętności, urządzają ją takim sposobem, że obok obrazu retuszowanego przedstawia drugi bez poprawy. Wystawa ta bezwątpienia bardzo będzie zajmująca, choćby dla samego porównania.

Chęć zarobku doprowadza ludzi do rozmaitych spekulacji tém lepiej udających się, gdy tanim kosztem pożyteczna zabawa jest na widoku. I tak, dwaj kupcy

sie, przewieźć ochotników do wszystkich pięknych punktów Szwajcaryi saskiej, ulokować ich w pierwszych hotelach dreźnieńskich i załatwić im wstęp bezpłatny do gabinetów i do teatru. Przez cztery dni przedsiębiorca jest gospodarzem, wszelkie wydatki na siebie przyjmującym, a kto po upływie zakresu tego pragnie jeszcze pozostać w stolicy saskiej, otrzymuje bilet bezpłatnego powrotu koleją do Wrocławia. Pokusa wielka i niema wątpliwości, że dużo znajdzie się uczestników, z których niejedyn wyrzeze: Niech żyje stowarzyszenie!

ROZMAITOŚCI.

List Zygmunta III do Jana Zamojskiego.

(z autografu.)

List ten, dotąd nieznan, pokazując z jednej strony niechęć Zygmunta III do Jana Zamojskiego, z drugiej maluje samowolność naszych panów, co nie radzi nigdy byli słuchać sami praw, których stróżami być mieli. Podaje nadto szczegół do starożytności naszych, zwyczaj zawieszania herbów na tych domach i gospodach, które czy sami zajmowali, czy też ich dworzanie. Oglaszamy ten ciekawy dokument, z zachowaniem dzisiejszej pisowni.
K. Wł. W.

Adres.

„Jasnie wielmożnemu Janowi Zamojskiemu kanclerzowi i hetmanowi wielkiemu koronnemu, bełzkiemu, malborskiemu, derptskiemu, gr...ckiemu, międzyrzeckiemu i jaworowskiemu staroście, naszemu uprzejmie nam milemu.

Zygmunt III z łaski Bożej król polski, wielkie książe litewskie, ruskie, pruskie, mazowieckie, inflantskie, szwedzkie, gocki i wandalskie dziedziczny król.

Jasnie wielmożny uprzejmie nam miły. Mam tę sprawę, że z ludzi uprzejmości waszej w Warszawie, gdzie sejm przez nas jest złożony, zastępują bez dokładu urzędu marszałka koronnego gospód wiele i *na nie herby uprzejmości waszej przybijają*. Wiész to dobrze uprzejmość wasza, że urząd każdy ma zostawać w swój władzy i w swych powinnościach, a jeden drugiemu w tém przekazać nie ma; więc i oglądać się w tej mierze trzeba na drugie, też należące do spraw Rzeczypospolitej. Gdzieby sobie każdy brać miał co mu się zda,

byłoby niemało w tém mieszaniny, i marszałkowi nie chciałoby się podobno wdawać w te rzeczy, ale zatem w powiększaniu wszystkiego rządu, mogłaby przekaza być sprawom pospolitym. Przeto dajemy to pisanie do uprzejmości waszej, oznajmując o tém, żebyś uważwszy to wszystko, rozkazał sługom swym, aby nie pomijali w tém urzędzie marszałkowskiego i nie czynili tego nieporządku w zabieraniu sobie gospód, co się im podoba. Życzymy zatem uprzejmości waszej dobrego od Pana Boga zdrowia.

Dan w Krakowie dnia XIII miesiąca grudnia, roku pańskiego MDCIV, panowania królestw naszych polskiego XVII, szwedzkiego roku XIX.“

(podpisano):

Sigismundus rex.

(Pieczęćka jest gabinetowa).



KOŚCIÓŁ ŚW. TRÓJCY W RZESZEWIE. (Rysował z fotografii Kozarski.)

z Wiednia i Tryestu urządzili wycieczkę do krajów wschodnich, za złożeniem 300 reńskich. Zgłosiła się do tej wyprawy dostateczna liczba ochotników, a nowożytni ci argonauci, za tanie stosunkowo pieniądze, odwiedzili wyspy Archipelagu, Ateny, Konstantynopol i Smyrnę. Chociaż tu i owdzie wygody nie odpowiadały życzeniu podróżników, a łoża, szczególnie dla tych, których natura obdarzyła pewną tuszą, okazały się za wazkie, towarzystwo jednak w ogólności tak zadowolone było z wycieczki, że wnet znalazło nasładowców. Parostatek Ameryka z 150 pasażerami z rozmaitych stron, powtórnie odbył tę samą drogę, a przedsiębiorcy, zrobiwszy dobry interes, na miesiące sierpień i wrzesień ogłosili wycieczkę do Włoch, aż do Neapolu. Już to w dziedzinie spekulacji Wrocław nie daje się wyprzedzić; dowodem tego jest także doniesienie tutejszego kupca, obowiązującego się za złożeniem 46 tal. w trzeciej, a 20 tal. w drugiej klas-

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

5 czerwca.

Monitor francuzki odebrał świeże wiadomości o postępie prac oblężniczych pod Pueblą. Artyleria zbudowała blokhauzy na kołach, to jest rodzaju małych, poruszających się forteczek, zaopatrzonych w parę dział górskich i kilku tyralierów. Działanie blokhauzów opiera się głównie na tém, iż podczas gdy baterie syją kartaczami po ulicach miasta i nie dopuszczają zbiegowisk, blokhauzy wkraczą w ulice bezkarnie. Dla rozdzielenia uwagi nieprzyjaciela, generał Forey posuwa się z dwóch stron jednocześnie: od San Marco i Morelos. Podczas gdy generał Douai usadowił się z lewej strony, Bazaine, któremu powierzono szturm prawego boku miasta, wznosił szanice i ustawił baterie za kościołem św. Baltazara, celem ostrzeliwania ulic w całej ich długości. Obok tych prac, wymagających wielkiej nauki, wytrwałości i odwagi, armia francuzka zwycięsko odpięra wycieczki meksykańskie. W d. 14 kwietnia, pułkownik Brincourt z jednym batalionem zuawów, 3ma szwadronami francuzkimi i 1m szwadronem kawalerii sprzymierzonej meksykańskiej pułkownika de la Pena, pobił na głowę Comonforta i Carbajala pod Atlesco. Meksykanie w liczbie 2000 piechoty i 1000 konnicy z 3ma gwintowemi działami pierzchli, zostawiając do 600 ludzi na placu. Rozkaz dzienny generała Forey wychwala mężstwo pułkownika de la Pena, który zabił własną ręką kilku Juaristów i oswobodził z więzów kilku kawalerzystów francuzkich. W d. 15 kwietnia odpedzono nieprzyjaciela od szanców św. Baltazara, a kapitan Munier w d. 21 pobił oddział meksykański San-Diaza pod Jamapa. Ogólne straty Francuzów, od rozpoczęcia oblężenia do 17 kwietnia, wynoszą: zabitych 5 oficerów i 69 żołnierzy; rannych 43 oficerów i 535 żołnierzy. Zaginęło 42 żołnierzy i 4 oficer. Drugą z kolei ważną kwestyą, zajmującą wszystkie umysły we Francji, są wybory. Kandydatura Thiersa i kilku innych znakomitości monarchii lipcowej poruszyła wszystkie pisma. Dzienniki półurzędowe namiętnie napadają na kandydatów opozycji, podczas gdy ci ostatni wszelkich używają środków do przeprowadzenia swęj listy wyborczej. Walka więc wyborcza, szczególnież zaś w Paryżu, będzie żywą, namiętną.

Zamknięcie obu izb w Berlinie odbyło się w d. 29 z. m. Prezes ministrów odczytał mowę, w której przypomina główne okoliczności sporu między izbą poselską i gabinetem, i oświadcza, że adresem swym izba odmówiła rządowi współdziałania, do którego była zobowiązana na zasadzie konstytucyi, i że w skutek tego zamknięcie jęj stało się nieodzowném. Po skończonej mowie, prezes izby p. Grabow powstał i w kilku słowach, zachęcających izbę do wytrwania w swém dążeniu, przy zachowaniu ścisłej legalności, pożegnał zgromadzenie. Izba, uczciwszy imię monarchy trzeciokrotném „niech żyje“, złożyła swemu prezesowi podziękowanie, przy ogólném powstaniu z miejsc wszystkich posłów sejmowych. Urzędowy Staats-Anzeiger z d. 3 czerwca, ogłasza rozkaz królewski z d. 4 b. m., oparty na artykule 63 ustawy, kontrasygnowany przez wszystkich ministrów. Na mocy tego rozkazu, władze właściwe upoważnione są do czasowego lub nieograniczonego zakazu tych pism, których duch i dążność zagraża pomyślności publicznej; rozkaz ten stosuje się także do dzienników zagranicznych. Król Wilhelm, z porady lekarzy, udaje się do Karlsbadu, celem poratowania nadwątlonego zdrowia.

Depesze londyńskie potwierdzają wiadomość, że kwestyą grecką uważać można za załatwioną. Według ostatnich wiadomości otrzymanych z Kopenhagi, dwór duński zgadza się na ofiarowaną przez Greków listę cywilną dla młodego króla w summie 1,200,000 franków, tudzież roczny dochód 140,000 fr. z dwóch zamków, ofiarowanych przez mieszkańców wysp jońskich. Książę Wilhelm uda się do Ankony, tam wsiądzie na okręt duński i wypłynie na wody Adryatyku, kędy eskadra grecka, wysłana na jego spotkanie, zabierze go i powiezie do Pireus. Młody monarcha odbędzie wjazd swój do Pireus bez żadnego orszaku zagranicznego, stosownie do życzeń deputacyi greckiej, bawiąc w Kopenhadze. Daily News donosi, że lord Russell odmówił Brazylii zadosyćuczynienia. W skutek tego minister brazylijski zażądał paszportów, otrzymał je i stosunki dyplomatyczne między temi mocarstwami przerwane zostały. Z powodu posłuchania udzielonego przez p. Drouyn de Lhuys, pp. Mason i Sliddel utrzymują w Londynie, że prezydent stanów

oderwanych, p. Davis, oświadczyć miał gotowość przyjęcia zawieszenia broni, proponowanego przed kilku miesiącami przez rząd francuzki. Mówią nawet, że i w Waszyngtonie chętnie zgodzą się na pokój i przywrócenie unii na pewnych warunkach. Ważne te wiadomości wymagają potwierdzenia. Na posiedzeniu izby gmin w d. 29 z. m. pp. Layard i Gladstone silnie bronili polityki rządu angielskiego względem Turcyi, dowodząc, że gabinet wierzy w świetną przyszłość państwa Osmanów i że polityka gabinetu w tej sprawie prawdziwy mu zaszczyt przynosi.

Arcy-książę Maksymilian, wielki mistrz zakonu niemieckiego, pradziad cesarza Franciszka-Józefa, w wieku lat 81, zakończył życie w zamku Ebenweier w górnej Austrii.

(Ind. Bel. Schles. Ztg. Jour. des Deb. Constitut. France.)

Ostatnie depesze. Paryż 3 czerwca. Z 268 wyborów, 252 wypadło na korzyść rządu. W Paryżu opozycja wzięła górę i ani jeden kandydat rządowy nie utrzymał się przy wyborach. Wybrano w Paryżu: pp. Havin, Emile Ollivier, Ernest Picard, J. Favre, Darimon, J. Simon, Thiers, E. Pelletan i Gueroult, którego wybór jeszcze raz sprawdzonym będzie. Rząd odniósł stanowcze zwycięstwo na prowincyi, kędy oprócz pp. Berryer, Marie, Henon, Plichon, Lanjuinais, Darion i Pierson, sami zresztą kandydaci rządowi przeważyli w urnie. Dalszy rezultat wyborów niewiadomy.

Londyn 2 czerwca. Wiadomości z Puebli dochodzą do d. 30 kwietnia. Były dwie bitwy: w jednej Meksykanie utrzymali się na swoich stanowiskach, w drugiej, zostali panami pola bitwy i wzięli do niewoli 157 zuawów.

Konstantynopol 2 czerwca. Fuad-basza mianowany wielkim cezerem, Haliff-basza ministrem wojny.

Turyń 4 czerwca. Piszą z Neapolu, że wiadomość podana w dziennikach o schwytaniu statków z rozbójnikami albańskimi zupełnie jest zmyśloną. Książę Humbert obecnym był przy uroczystości otwarcia kanału Cavour, przy niesłychanym napływie ludności.

JAREMA,

studjum

Z WEWNĘTRZNYCH DZIEJÓW GALICJI,

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

Jarema żadnej nie posiadał własności w gromadzie nowowiejskiej, a przez dwadzieścia lat powinien już być przywyknął do życia poza gromadą. Miał wszystko do czego niegdyś wzdychał: stolik czarny, siwy papier, pióra i inkaust, a do tego jeszcze kilka reńskich miesięcznie. Miał także i pozycyą, mógł z długim piórem za uchem, chodzić po długim korytarzu i przychodzących do kancelaryi chłopów z góry traktować.

Po kilku jednak latach nie wystarczało to wszystko Jaremie. Najprzód nudziła go ta osmiogodzinna pisanina, ta ustawiczna permutacja dwudziestu czterech znaków pisemnych. On był maszyną, niczém więcej, a kiedy z Wiednia sprowadzono maszynkę do kopiowania korespondencyi kaceraryjnej, Jarema widział cały byt swój zagrożony i musiał chęć nie chęć o swojej dalszej roli na serwo pomyśleć. Do tego jeszcze przyłączyły się różne inne potrzeby. Jarema, jako dziecko gromady, musiał zawsze żyć pewnym wspólnym życiem, jakim żyje gromada.

W wojsku szło to jeszcze jako tako. Były pewne surrogata, które temu uczuciu mogły zadość uczynić. Była kompania, był batalion, wreszcie regiment. W kancelaryi zaś był on sam jeden jak palec. Wprawdzie grzymoliło tam kilku innych jeszcze pismaków, ale każdy żył dla siebie, pił swoją własną szklankę piwa i za nią sam płacił. Pić ze wspólnego dzbanka, jeść ze wspólnej miski, częstować swoim groszem przyjaciół i zapłacić za nich jedną lub dwie koleje, a za to serdeczny, braterski otrzymane uścisk ich ręki,—o tém wszystkiém nie wiedziano w kancelaryi, w której siedział Jarema.

Ozwała się więc w Jaremie potrzeba życia w gromadzie, między swymi, a gdy nad tém rozmyślał począł, przypominał sobie rozmowy u ślepego Joska, które miał z Amtsdinerem Huberem i owym mecenasem gromadzkim, co to uskarżał się, że w gromadzie nowowiejskiej nie było porządnego gospodarza, z którymby o procesie gromady ze dworem coś pomówić można. I przyszło mu na myśl, że on w tej kancelaryi jest ostatnim, a w gromadzie nowowiej-

skiej, przy dzisiejszém swoim doświadczeniu, mógłby być pierwszym. Jakże serce jego rosło, gdy sobie zamarzył, jako on w karczmie będzie na pierwszym miejscu siedział, jak to będzie miał w skrzynce wielką pieczęć gromadzką.... bo niezawodnie będzie wójttem.... jak gromadzie wyprocesuje różne jęj uroszczenia, a gdy tego potrzeba będzie, pójdzie i do Wiednia, bo zna doskonale drogę.

Tak i podobnie marzył sobie Jarema, a siwy papier stawał się mu z każdym dniem nieznośniejszym.

Jego wzrok pastuszy potrzebował szerokich zielonych łąk, potrzebował drzew i licznych stad ptaków, a tu zaledwo kilka łokci przed nosem wznosił się mur wysoki, a tam na oknie wisiał w klatce tylko jeden oswiały ptaszek.

On pragnął życia czynnego i ruchu, a tu potrzeba było ośm godzin siedzieć i nie przytém nie myśleć, nie roić.

Prócz tego powrót jego do gromady opierał się jeszcze na czémś realniejszém: miał on w węzłku na piersiach pół tysiąca reńskich, które wziął od Niemca za drugą kapitulacyą, a z taką sumką mógł śmiało przyjść do gromady, kupić sobie grunt i chałupę i z dumą zaspokojoną zająć pierwsze miejsce tam, gdzie mu niegdyś uragano....

I jeszcze coś ciągnęło go do gromady. Dwadzieścia lat życia w obczyźnie nie zatario w jego sercu Nastusi o jasnych jak len włosach. Mianowicie w kancelaryi często przychodziła mu na myśl. Chciał się dowiedzieć, co się z nią stało, a gdyby ją zastał żoną drugiego, chciał jęj okazać, że on mógłby jęj może lepsze zgotować szczęście, gdyby nie była nim wzgardziła.

Takim to był Jarema, gdy od krzyża ze szczytu Nowejgóry, ujrzał światło w piekarni i do niego wprost dążył. Dlaczego szedł on za tém światłem? Co go ciągnęło w tej chwili do piekarni? o tém nie wiedział i nawet siebie w tej chwili nie pytał.

Ale w połowie drogi wychyliła się z poza drzew ogrodu karczma nowowiejska. W oknach karczmy było jasno, w koło stołu widać było siedzących włóścian.

Karczma ta miała dla niego tyle pamiątek! Tu odbywały się tańce, tu przychodziła Nastusia jasnowłosa, tu z nią zabawiał się Szymek....

Na wspomnienie Szymka ścisnął obie pięście i stanął. Zdawało mu się, że na jasnym tle jego marzeń osiadła nagle jakaś czarna, brzydka plama...

Z karczmy slychać było głośnie rozmowy i brzękanie szklanek. Tam siedzą niezawodnie dawni jego towarzysze, którym on przywodził. Zapewne dzisiaj są gospodarzami, mają żony i dzieci....

A wzrok jego znowu zwrócił się do światła w piekarni....

I coraz więcej ciągnęło go do karczmy. Jasna błyskawica wskazała mu właśnie ścieżkę.

W karczmie za stołem siedzieli kilku chłopów. Wszyscy podparli brody na opalonych, nagich rękach i słuchali z uwagą siedzącego naprzeciw człowieka.

Człowieczek ten był siwy jak gołąbek, a zaschnięty jak śliwka węgierska. Usta miał szerokie, zawsze śliną okryte, w gębie nie było widać żadnego zęba. Gadał prędko i nieustannie i ruszał się jak kosz we mlynie. Miał na sobie stary, wytarty frak granatowy i nankinowe pluderki. Przed nim stał inkaust, leżały papiery i długa linia.

Koło niego siedział drugi, podobniuteńki do niego jegomość. Różnił się tylko czapeczką, która niegdyś urzędownika oznaczała, i twarzą trędowną, pośród której wyrastał siwy nos o trzech konarach.

Gdyby w tej niskiej, zadymionej izdebce żydowskiej zdołały widomie pozostać myśli i słowa biesiadującej tutaj w niedzielę gromady, mogliśmy odrazu zapoznać czytelnika z usposobieniem dawniejszych poddanych dworu nowowiejskiego.

Możnaby sądzić, że po „zniesieniu pańszczyzny“ ustał w Galicji między dworem a gromadą wszelki nieprzyjazny stosunek. Tak jednak niestety nie było. Pańszczyznę wprawdzie zniesiono, ale natomiast wystąpiła potworna kwestya tak zwanych „servitutów“, kwestya dokucliwsza jeszcze dla stron obu od pańszczyznianej.

Dawniej robił chłop kilka dni pańskiego na tydzień, ale za to wiedział że miał prawo paść swoje chudobę na łanie pańskim i z pańskiego lasu miał drzewo na opał i do gotowania strawy. Po zniesieniu pańszczyzny dwory zaprzeczyły prawa gromadom do pastwisk swoich i zamknęły lasy swoje.

Tym sposobem naprężyły się jeszcze więcej stosun-

ki między dworem a gromadą, która wyprowadzać poczęła prawa swoje do lasów i pastwisk.

Była to sobota, lecz w karczmie mimo to zgromadziło się kilku włościan, aby o lasach i pastwiskach między sobą pogadać.

Nie brakło im też pobudek do niechęci z innej jeszcze strony.

Ów człowieczek w nankinowych pluderkach, to dawny nasz znajomy. Był on kiedyś jakimś urzędnikiem, ale coś zinałował, za co przesiedział się parę latek w kryminalne. Dzisiaj pisze gromadzie prośby i prowadzi jej procesa.

Jego sąsiad, z sinym nosem o trzech konarach, wspiera go w tém rzemiośle radą i czynem i zdaje mu się, że wielkie będzie miał kiedyś za to uznanie, choć teraz niewdzięcznie z nim się obeszlili w urzędzie obwodowym i za jakąś sprawkę odebrali mu tekę Amtsdinera, zostawiając go własnemu przemyślowi.

Mecenas w nankinowych pluderkach mówił właśnie:

— *Postuchajcie Hrehory!* Ja wam mówię, tylko niech gromada złoży się po jednym guldenie, a ten pan, wszak *znajete* go, Frydrych August Huber, zanieś waszą skargę do Lwowa, do rąk samego gubernatora.

Wysoki barczysty chłop kiwał głową to w tę to w ową stronę, ale mecenasowi nie odpowiedział.

W tej chwili wszedł Jarema do izby. Siedzący za stołem rzucili okiem ku drzwiom, a obaczywszy podróznego jakiegoś wojskowego, wrócili do swojej rozmowy.

Nikt Jaremy nie poznał. Nie poznał go arendarz ani gromada. Na ławkę przy progu rzucił swój węzełek i usiadł, jak długą podróżą zmęczony wędrownik. Nikt na niego nie zważał.

— Musicie wiedzieć Hrehory, mówił dalej mecenas, że przed dwudziestu laty pisał ja już gromadzie o te łany nad rzeką, co to dwór przywłaszczył je sobie—a cóż z niemi?

— *Tu szoby buło*, odparł najwyższy chłop, abo to z niemi kto wygra, czy co? Łany są dworskie jak przed laty dwudziestu.

— A dlaczego wy o tém staroście albo kommissarzowi nie powiecie? Wszak wiecie, że nasz starosta i kommissarz bardzo lubią chłopów.

Chłop poskrobał się w głowę i rzekł po chwili!

— *Ze toj pan w cyrkule je dobryj, to wsi znajemu, ale...* Hromada zawsze przegra.

W tej chwili zerwał się podróżny ze stolka, przybiegł z hałasem do radzących, a uderzywszy w stół pięścią, aż się szklanki powyrwały, krzyknął śród powszechnego popłochu:

— Alboż to hromada *sem ne wi, gde pójść?* *fer-flucht!* *teremtete!*

Wszyscy skołowaciel z przestachu. Tak nagle zjawiała się ta dziwna figura śród nich, tak strasznie zabrękiły szklanki, rozlatujące się w tysiączne kawałki.....

Kilka chwil trwało głębokie milczenie. Potem krzyknięto chórem:

— Jarema! Jarema!

Jegomość z sinym nosem o trzech konarach wytrząszczył bure ślępie swoje, a Jarema tymczasem palnął go w plecy, aż mu dech zaparło i krzyknął nad nim:

— Huber! Dreinos!

Mecenas potarł ręką po czole i wołał:

— Jarema?... Jarema?... przypominam sobie.... u Jośka.... będzie temu lat dwadzieścia.... co to tego strzelca tak dusił za gardło....

I przypomniawszy sobie rzeczywiście tę scenę, skurczył kark swój i zgiął się pokornie, w obawie ażali Jarema nie zechce siły swojej na nim spróbować, której świetne dowody dał właśnie przed chwilą.

Wysoki barczysty Hrehory wstał z za stołu i wyciągnął rękę do towarzysza młodości, ale z pod krzączystych jego brwi strzelił jakiś złowrogi promień na przybysza. Ostrożnie wziął go za dłoń i obmacał ją, czy w samą rzezczy jest tak silna, jak to przed chwilą się okazało.

Przeczenie mówiło mu, że widzi przed sobą współzawodnika. Tak silnej pięści i tak szerokich bark nikt nie miał w całej gromadzie. I głosu tak pewnego i stanowczego nikt nie posiadał jak przybyły, a wyzywająca jego postawa oznaczała człowieka, który nienadarmo wraca po dwudziestu latach do gromady.

Hrehory spuścił głowę i zamyslił się. On był wójtem.....

Tymczasem inni chłopci podawali kolejną rękę Jaremie i witali się z nim. I mecenas ośmielił się i podał mu suche swoje palce, które w dłoni Jaremy zatrzeszczały jak chrust trzyletni.

Jarema przerzucił płaszcz na lewe ramię i zasunął czapeczkę na ucho.

— No jak tu *sem u was?* rzekł po chwili, siadając śmiało naprzeciw Hrehorego, *pańszczyzna weg!*

— O tak, pochwylił dreinos, i wszystko byłoby dobrze; ale ciężko zawsze z dworami.

Jarema wznosił duży, sękaty kij do góry i puścił go młynka między palcami, aż kaganek omal nie zagast od prądu powietrza. Chłopi z uwielbieniem spojrzeli na niego, podziwiając jego siłę i zręczność. Tylko Hrehory zachmurzył się.

— Co to *sem* dwory! krzyknął Jarema, *hromada to weliki czotowik!* *Kreutzdonnerwetter!* Czy to *sem* w hromadi nema hospodara, coby znał gde *Kreisamt* a gde *Apelation?* *Teremtete!* *Corpetto di Baccho!*

Chłopi uśmiechnęli się na tę mieszaninę języków wszystkich ludów Austrii, jaką chciał się przed nimi popisać wystużony żołnierz. Hrehory spostrzegł to, pomyślał chwilkę, a potem rzekł:

— Dla czocho z namy po ludzkie ne howoryte Jarema? Choczyte howoryty po polskie, to wsi rozumijemu. Ale po niemieckie i z uherska, to nyny krasno. Tak howoryt tylko rekrut, koły choczyt, aby mu baba zhotowała pyrohy z syrom. A nasi lude mowlat: „Kołyś ne pyroh, ne pyrozysia!“

Chłopi zaśmieli się na cale gardło, wtórując najrozmaitszemi gestami konceptowi wójta. Hrehory rozweselił twarz, widząc że mniemanego współzawodnika śmiesznym uczynił.

Zrozumiał to wszystko Jarema. Rzucił wściekle wejrzenie na wójta i zacisnął zęby. Spozstrzegł że gromada, to jak stado ptaków: wszyscy są sobie równi i żadne pióra nie odróżniają ich. A jeśli jaki ich brat z klatki ucieknie i z czerwona pod szyją wstążeczką do nich przyleci, wszyscy z hałasem rzucą się na niego i nieswojską oznakę wyskubią mu do szczętu.

Naturalnym rozsądkiem Jarema poznał od razu swój błąd i że przeciwnik z niego skorzystał. Przymuszając się więc do największego puryzmu, do jakiego tylko był zdolen, ozwał się po chwili:

— Nie gniewajcie się, jeśli po dwudziestu latach, gdy wracam do was zapomniałem mówić z wami jak to dawniej mówiłem. Ale bo to człowiek kawał świata zeszedł! Był w Weńedyku i w Majlandzie, w Italii i u papieża..... Modena, Cremona, Bergamo, Solferino, Przeworsk..... Pesth, Weiskirchen, Lañcut..... Deutsch-kopiec, Melkojed, Klausenburg, Radymno... i Bóg wie jak się te miasta wielkie nazywają, a o *lograch* to już nic nie mówię.

Chłopi rozdziawili gęby i w głębokim milczeniu podziwiali gromadzkiego turystę. Najmniej o dwa cale wyrósł w ich oczach. Hrehory zasnuł się.

— Słuchajcie Jarema, zawołał były Amtsdiner o troistym nosie, czy przypominacie sobie tego pana kommissarza, co to ze mną jechał jest temu lat dwadzieścia, na kommissyą i gdy was dziedzic chciał bić za głupiego kanarka....

— Aha, przypominam sobie, odparł Jarema, zaspiając czoło, bo w tej chwili stanęła mu Nastka przed oczyma.

— A przypominacie sobie, mówił dalej dreinos, jak to pan kommissarz przyrzekł was wziąć na służbę, gdy będzie starostą.

— Aha, prawda, mruknął Jarema.

— Otóż ten kommissarz jest dzisiaj naszym starostą, zakończył Huber.

Jarema pomyślał chwilkę, a potem ozwał się:

— Że ten pan kommissarz jest naszym starostą, to bardzo dobrze, bo wypadnie czasem do *Kreisamtu* interes. Ale służyć Jarema nikomu nie będzie!

Tu wyjął z zanadru spory węzeł cwancygiarów i dukatów, rzucił je na stół przed zdziwionych chłopów i zawołał:

— Jarema nie jest biedny. Gdybym chciał, mógłbym sam zostać kommissarzem, ale ja wołał wrócić do gromady, kupić sobie grunt i chałupę, być porządnym gospodarzem i nie dać krzywdy robić gromadzie!

Wszyscy chłopci wypatrzyli się na Jaremę. W ich oczach widać było radość. Oto ich brat gardzi dostatkami świata i wraca na zagon ojczysty, aby wraz z nimi dzielić dolę i niedolę. I podnieśli się wszyscy z ławy i podali mu ręce; Hrehory tylko nie wstał, a podając mu rękę mruknął:

— Tylko Jaremo, pamiętajcie o tém, szczo teper ne wilno tak robyty, jak to buwało. A Szymka takie nema.

Jarema spojrział ukośnie na wójta, ale nie na to nie odpowiedział. Zresztą nie każdy to dosłyszał, co wójt powiedział, bo kilku naraz mówiło do Jaremy.

A gdy się nieco uciszono, zaczął im Jarema długo i szeroko opowiadać swoje różne koleje żywota. Pra-

wił im o bitwach i o ryżu z baraniną, jak razu jednego saniego Napoleona już za poły kabatu ułapił, jak go cesarz prosił o ogień do fajki, jak w burgu stał na warcie, a cesarzowa rzekła do niego: *Jarema, ty krasny żomir!* Dalej opowiadał jak będąc kapralem, wprost poszedł do cesarza i wyprosił u niego łaskę dla swego kolegi, który miał dostać pięćdziesiąt kijów; jak przy tej okazji pytał go cesarz, co tam gromada Nowejwsi porabia i czy się jej dobrze dzieje? Później wystąpił z wojska, poszedł do kancelaryi i tam pisał i pomagał chłopom, którzy stadami jak dzikie kaczkę, do niego się zlatywali. I zakończył tém, że już był blizkim znakomitego urzędu, ale przypomniał sobie gromadę Nowejwsi, której zapewne najlepiej się powodzi, i postanowił wrócić do niej. Sam minister, z dużym harcapem na głowie, pochwalił go za to i przyrzekł mu pomoc, jeśli kiedy do niego się uda.

Wszystko to w formie jaknajprzystępniejszej opowiadał chłopom Jarema. Chłopi kiwali głowami i nie wierzyli oczom swoim, a siedzący naprzeciw nich Jarema rósł coraz bardziej, aż pod powałę izby żydowskiej.

Największy jednak efekt sprawiły cwancygiery i dukaty, które przez dziurawą szmatę przegłądały. Toż wysłuchawszy całej Jaremy historyi, w zamian opowiadali mu szeroko o biedzie swojej. Mówili mu, że chudoba ich poschła z głodu, bo dziedziczka zabrała im pastwisko i część tylko dała na ich użytek; że strawy niema przyczém ugotować, bo do lasu ani nogą nie wolno im stąpić, a ten co im dała dziedziczka, to już dawno wycięli.

Jarema uderzył pięścią o stół i rzekł:

— Musi to być wszystko inaczej! Niechno ja gospodarzem będę! Sprowadzę ja kommissyą na grunt!

— Oh, kommissyą już była, ozwał się jeden z gromady, ale tak jakoś zrobiła dziedziczka, że pastwiska i las jej przyznano.

Jarema spojrzął na mecenasa i Hubera. Huber uśmiechnął się i mruknął:

— Wiem ja jak to się dzieje w *kreisamt*. Gromada była głupia i dała się dziedzicze oszukać.

— Musicie wiedzieć, moje dzieci, wtrącił suchy mecenas, że gromada czyli chłopci, są wobec prawa małoletni i mają obronę fiskusa za sobą. Niech tylko będą jakie takie dowody, a nawet tego tak bardzo nie potrzeba, to można cały proces odnowić, *renovatio*.

— Gdyby tylko kto za tém umiał pochodzić, dodał *ex-amtsdiner*.

— Ja mówię, złóście się po jednym guldenie, zaczął mecenas,—ja napiszę, a za czternaście dni....

— Co pisać? krzyknął Jarema, to trza pójść same-mu do *kreisamt*, a jeśli to nie pomoże do *Wien!*

— Pan Huber zna w cyrkule wszystkie drogi, mówił dalej mecenas.

— Ale trzeba zawsze mieć pismo w rękę, dodał *ex-amtsdiner*, bo ja znam starostę.

— No, no, o tém będziemy jeszcze radzić, zakonkludował Hrehory i tak niema całej hromady.

— Niechno ja gospodarzem zostanę! mruczał Jarema, chowając cwancygiery w zanadrze.

— Gospodarzem chcecie zostać? ozwał się siwy, zgarbiony włościanin, toż macie swoje dziadowiznę.

— Dziadowiznę? podjął Jarema, ja nie tutaj nie mam.

— Jaktó? a Stefanówka? dzisiaj pustka.

— Pustka? zapytał mecenas, a to zawsze będzie proces.

Gdy się chłopci uciszeli, ozwał się siwy, zgarbiony staruszek:

— Na cóż tu procesu? Ja znam całą tę sprawę. Stefan Magdziak kupił ten grunt za figurą i postawił chałupę. Potem oboje zmarli nagle. Różnie mówili ludzie o tym gruncie, dlatego nikt z krewnych nie chciał tam osiąść, i zrobiła się z tego pustka. Dwór siał tam koniczyne i kosił trawę. Opiekun wasz wiedział o tém, ale był z dziedzicem ręką w rękę i dlatego nic mnie nie mówił, że wy Jarema jesteście stryjecznym wnukiem po Stefanie i że wam należy się Stefanówka.

Jarema przyłożył rękę do czoła i zamyslił się.

— Kto płacił podatek z tej pustki? zapytał mecenas.

— Dwór, odpowiedziano.

— To źle! mruknął prawnik. Ale jest jeszcze nadzieja. Najprzód, czy ta pustka, czyli grunt rustykalny zapisany w księgach z r. 1820 jako grunt domi-nialny, a powtóre, czy dominium podało tę pustkę, przy indemnizacyi, za grunt rustykalny?... Oho, hol ze dworem to trzeba prawo znać na palcach, tak jak ja znam. Dwór ma sposoby, że gromada zawsze przegra.

Jarema oderwał dłoni od czoła i spuścił ją z taką siłą na stół żydowski, że aż nogi w nim zatrzeszczały. Już samym instynktem, jaki zazwyczaj ma każdy biedny człowiek na widok bogatego, przeczuwał on, że dwór wyrządza gromadzie wielkie krzywdy, a różne doświadczenia i rozmowy, w czasie nową jego kariery, nauczyły go, że tylko ochronna ręka władzy najwyższej odpięra te krzywdy, aby gromadę do szczętu nie zgmiotły. Teraz zaś miał on oczywisty dowód tych krzywd, a najboleśniej uczuł je sam na sobie. On niegdyś był sierotą w gromadzie. Urągano i śmiano się z niego. Jasnowłosa Nastka odepchnęła go. A przecież wszystko to nie byłoby się stało, gdyby mu dwór nie był wziął jego dziadowizny...

Zerwał się z ławy Jarema, a zarzuciwszy swój węzełek na plecy, pozeгнаł wszystkich i wyszedł z karczmy.

Hrehory wyjrzał przez okno za nim i widział, że szedł prostą drogą do dworu.

— Szczęś zle bude, rzekł do towarzyszy.

— Bezemnie dziadowizny nie wydrze. mruknął prawnik, mrugając do przyjaciela o troistym nosie.

A w tej chwili zagrzmią strasznie nad karczmą, aż stary leek omal że się nie przeżegnał. Błyskawica oświeciła pola, przez które przedzielał się jakiś cień czarny.

IX.

Jedna złota chwila.

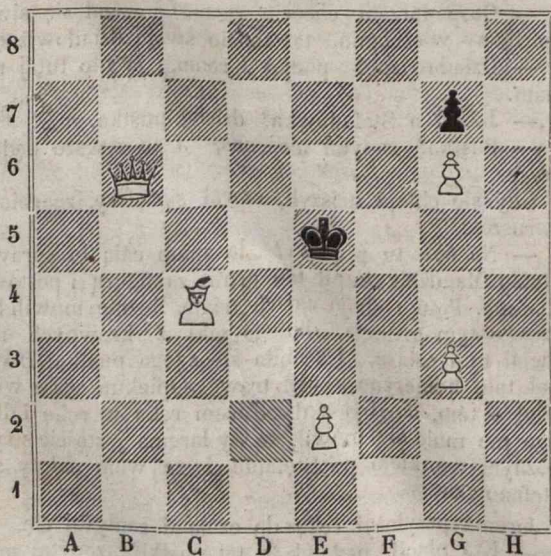
Śród dęszczy i burzy zbliżał się Jarema do dworu. We dworze było jasno. Na dużych szybach odbijały się kwiaty w wazonikach i w ładne arabeski haftowane firanki. Jakoś miło, przyjemnie było tam za temi jasnymi oknami, a na dworze było ciemno,

SZACHY.

ZADANIE CLVIII.

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 157.

Białe.

Czarne.

- 1) G 8—G 7 1) D 6—E 6.
- 2) D 3—F 4 † 2) E 6—D 6.
- 3) E 4—E 5 † i mat.

Kto rano wstaje,
Temu Pan Bóg daje.

W świecie wicher dmie szalony...
Wstrząsnął okna hotelowe.
On się ocknął rozmarzony,
Ziewnął, w okno zwrócił głowę:
„Ha! do biesa! z dąsem klnie,
W tej Warszawie nudne dnie...”

Któż tam już? Jedenasta.
Ha! przeklęty turkot miasta
Przerwał rajski sen... uściski...
Strzały korków... odaliski...“
Ziewnął, kaszlnął, klnie na los,
W nocy dużo zabrał sztos.

Kaszląc, dekolt wziął piersiowy,
Zażył, usta skrzywił,—przecie
Milszy dymek hawanowy.
Pali, marzy znów o świecie,
O portretach—różach swych...
Któż wdzięczniej tańczy z nich?..

Od tej bukiet, rękawiczka...
A od drugiej pantofelek.
Cudna nóżka!... Tej twarzązka,
To malina—to karmelek!...
Lecz zakatyl! przykry los,
Drogie uczył!.. zdradny sztos!..

Wtém Jan lokaj anonsuje.
„Pewnie Fredzio, wprowadź—wprowadź!
Co to?!“...—Jasny pan daruje,
Rzekł przybyły, ale... — Kto wać?
— Pan mój Chabou przysłał mnie,
By raz zmazać sumki te.

„Pan twój krawiec nad krawcami,
Lecz cierpliwość także cnota;
Toć ułatwię się z długami,
Pszenica się kłosi złota,
I za drogę coś się da,
Tylko w mieście o tém szal!“

Wszedł i drugi do panicza,
Wyjął rewers z za pazuchy;
Dług i procent mu oblicza,
Tu interes bardziej kruchy:
Dawno spłaty minął czas...
Lecz jest w dobrach jeszcze las.

„Las rozkażę ściąć na sągi,
Popodwyższam propinacje;
Rządca przysłał mi wyciągi,
Zobacz Lewi, że mam rację.
Za czekanie coś się da,
Tylko w mieście o tém szal!“

Przyszedł jeszcze ktoś i trzeci,
To z rachunkiem numerowy.
Panicz złote słówka kleci,
Aż wstał w końcu z bólem głowy.
A Jan szepcze: „Rano wstał,
Zato Bóg mu wiele da!“

J. G.

zimno i dżdżysto! Białawe światło z dużej okrągłej lampy rozchodziło się po wszystkich kątach gustownie urządzonego saloniku, a na świetle była noc ciemna, burzliwa, oświecona tylko błyskawicami, których światło tak dziwnie błyszczało, jak zapalony proch na palenecze.

Jarema stanął przed oknami i oparł się o płot, który od reszty ogrodu odgradzał mały, kwiatkami zasadzony ogródek. Jego wzrok padał głęboko do pokoju i koleją przechodził różne znajdujące się tam przedmioty i osoby.

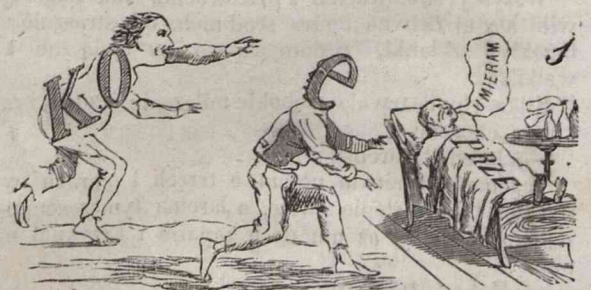
Najprzód przypatrywał się niejaki czas wdowie z wielką uwagą. Domyślił się, że to musi być owa młoda dziewczynka, której niegdyś usługiwał w tym dworze, a która teraz jest dziedziczką Nowejwsi. Żadnego w tej chwili nie przywiązywał do tej osoby wspomnienia. On widział w niej tylko dziedziczkę, nie więcej, widział panią domu, która gromadzie tyle krzywd wyrządzić miała, która jego dziadowiznę za-

garnęła i do majątku swego wcieliła. Widział, że była ubrana ładnie i kosztownie, jak żadna niewiasta wiejska nie ubiera się. W jej uszach błyszcząło złoto i drogie kamienie, na rękach coś także świeciło się, co musiało być bardzo kosztownym.

Koło niej widział młodą, z kapryśną twarzązka dziewczynkę, która, jak każde dworskie paniątko, dygała na wszystkie strony i uśmiechała się, podając gościom niskie, porcelanowe czarki z jakimś napojem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 192.

Jeżeli szynki kwitną, to szkółki pewno się nie podnoszą i moralność między ludźmi upada.